

Emmanuel Małyński¹

Czy można uniknąć wojny?²

Panujący obecnie pokój w dziwny sposób przypomina antrakt tragedii, bowiem wysiłki podejmowane przez różne narody, przywodzą na myśl słynny okrzyk Pani du Barry pod gilotyną: „Jeszcze minutę, panie kacie!”. Czy starcie jest nieuchronne? Nie. A jednak przemyślenie wojny, choć wiemy, że byłaby ona dużo straszliwsza niż poprzednia, a jej konsekwencją byłaby rewolucja światowa i zaprowadzenie bolszewizmu na gruzach starego świata. A to dlatego, że żyjemy w jakiejś hipnozie i nie chcemy wziąć pod uwagę realiów, które nas otaczają, a których nie sposób nie zauważyć. Nie wystarczy bowiem powtarzać do znudzenia, że imperializmy są przyczyną całego zła, ale należy zastanowić się, czy imperializmy nie mają jakiejś przyczyny głębszej, i czy ta pierwotna przyczyna może zostać usunięta.

Nie da się zaprzeczyć, że imperializmy istnieją, a to za sprawą trzech potęg: Niemiec, Włoch i Japonii, które stanowią poważne zagro-

¹ Ur. Żurze na Wołyniu 26.03.1875 – zm. Lozanna 17.05.1938. Urodził się jako jedyny dziedzic majątku Małyńskich. Rodzicami jego byli Michał Małyński herbu Poraj, dubieński marszałek szlachty, oraz baronówna Annette von Wrangel zu Addinal pochodząca z kurlandzkiej arystokracji. Na chrzcie świętym otrzymał imiona Marek, Emanuel, Wit i czasami pojawia się jako dwie niezależne osoby z imionami Marek lub Emanuel. W dzieciństwie był raczej chuderlawy i niskiego wzrostu. Przejawiał niezwykle zdolności sportowe – jeździł konno, wspaniale grał w tenisa, doskonale strzelał, rozmiłowany był w fechtunku szpadą. W roku 1903 odziedziczył fortunę po swoim wuju Janie Małyńskim. Pozwoliło to na zakup mieszkania w Paryżu oraz prowadzenie wystawnego życia. W tym czasie był niepokonanym w całej Francji w zawodach strzeleckich z pistoletu i rewolweru. Zob.: <http://oczamiduszy.pl/emanuel-malynski/> (dostęp: 15.03.2019).

² Tekst oryginału w: „La Revue hebdomadaire”, tom I/1935 (44), s. 78-84.

zenie dla bezpieczeństwa światowego. Ale jest pewne, że ich korzeni i racji bytu nie należy szukać w fantastycznym podziale rodzaju ludzkiego na gatunki zoologiczne i wojownicze. Ciekawe, że w naszej epoce, gdzie głosi się równość wszystkich ludzi i gdzie z pogardą traktuje się pokolenia, które dokonywały rozróżnienia pomiędzy ludźmi szlacheckimi a niegodziwcami, odkryto fundamentalne i specyficzne różnice pomiędzy tymi samymi ludźmi w zależności od tego czy mieszkają po lewej, czy po prawej stronie rzeki, czy łańcucha górskiego, a czasem zwykłej linii wyznaczonej na mapie na mocy postanowień jakiegoś traktatu. To wyjaśnienie, powtarzane bez zastanowienia, przez ludzi uważanych za poważnych nie powinno wystarczyć nawet uczniakom, którym nauczyciele nie wpoili, że Niemcy, Włosi i Japończycy należą do jednego gatunku, podczas gdy Francuzi, Anglosasi, Chińczycy i, nie zapominajmy, Żydzi, do innego.

Prawda jest następująca: ludzkość, zarówno w wymiarze poziomym jak i pionowym, nie dzieli się na dwa gatunki, lecz na dwa obozy: krów chudych i krów tłustych, jak w biblijnym śnie faraona. Krowy chude od zawsze dążyły do pożarcia krów tłustych, by potem pożreć się nawzajem. Mówiąc jaśniej, nie da się pomieścić siedemdziesięciu pięciu milionów Niemców na terytorium wystarczającym jedynie dla czterdziestu milionów, ani czterdziestu milionów Włochów na półwyspie, który realnie rzecz biorąc może pomieścić ich tylko dwadzieścia pięć, ani też osiemdziesięciu milionów Japończyków na wyspach, których całkowita powierzchnia jest mniejsza niż połowa terytorium Francji. Woda z rzeki, której bieg zatrzymamy zamiast zmienić jego kierunek, para z kotła, którego otwory zatkamy, również są imperialistyczne. W tych analogicznych warunkach jest to zgubne. Ale czy te warunki są zgubne same w sobie?

Czy dla dobra ludzkości nie byłoby rozsądniej przeobrazić w siły napędowe te żywioły, które niekoniecznie muszą być groźne? Z tej prawdy, wielu współczesnych, którzy nie biorą za dobrą monetę wszystkich niedorzeczności, jakie się im opowiada, doskonale zdaje sobie sprawę i ubolewa, że Włochy, Niemcy i Japonia (a za trzydzieści lat może i płodna Polska) przyszły zbyt późno na świat, którego wszystkie części nadające się do zamieszkania zostały wcześniej przydzielone innym cywilizowanym narodom. Jest ich wielu, i jest to

opinia, którą słyszeliśmy już wielokrotnie we Francji i gdzie indziej, ale też nie widać lekarstwa na to zło, bo istotnie nie da się w sposób racjonalny żądać od Francuzów czy Anglików, aby dobrowolnie wyzbyli się tego, co do nich należy, na rzecz Niemców czy Włochów. Jeśli zaś idzie o ekspansję gospodarczą, to jako tylko chwilowy półśrodek, wiemy z doświadczenia, do czego prowadzi, zwłaszcza gdy się jej nadużywa – do nadmiernej industrializacji opartej o kredyt, zatłoczenia i imperializmu ekonomicznego, którego koniec końców nie da się oddzielić od imperializmu politycznego. A jeśli dana zbiorowość chce za wszelką cenę uniknąć wojny, to prowadzi do bezrobocia, nadmiernego zadłużenia, ruiny i ostatecznie również do wojny, ale na płaszczynie poziomej, tj. do rewolucji.

Zatem, gdzie by się nie odwrócić w tym zaklętym kręgu, napotykamy ten sam tragiczny problem krów chudych i krów tłustych. Japończycy są wstrzemięźliwi, wystarczy im garstka ryżu; Niemcy są wielkimi chemikami, starają się sobie radzić, wynajdując coraz to nowe substytuty; faszyzm jest rozsądnym wyjściem, osusza i oczyszcza bagna i intensywnie poprawia stan każdego metra kwadratowego krajowej gleby. Lecz wszystko to nie może trwać w nieskończoność i po przekroczeniu pewnych granic liny wytrzymałości i cierpliwości w końcu się zerwą. Jest to zagadnienie natury arytmetycznej, fizycznej i fizjologicznej, a nie psychologicznej, ambicjonalnej czy podniesienia prestiżu. Aby rozwiązać ów zasadniczy problem, będący źródłem większości zła naszej epoki, nowy Krzysztof Kolumb musiałby odkryć nieznaną część świata, żyzną i nadającą się do zamieszkania, pełną bujnych pastwisk dla jednostkowych krów chudych i ich zbiorowości, co sprowadza się do tego samego.

A jednak, takiej krainy wcale nie trzeba odkrywać, ponieważ istnieje, nadaje się do zamieszkania, jest żyzna, a jej ziemia i podziemie obfitują w ogromne zasoby. Jej powierzchnia byłaby wystarczająco duża, aby wykarmić mocarstwa, które patrzą na siebie jak wygłodzone psy i myślą tylko o tym jak sobie wyrwać chleb z pyska, ponieważ kilku go brakuje, tak aby jedno nie zazdrościło drugim. A wszystko to bez szkody dla tubylców, dla których, przeciwnie, po latach nędzy, rozpoczęłaby się era dobrobytu i bezpieczeństwa. Krainą tą jest dawne imperium carskie, obejmujące szóstą część ziem nadających się

do zamieszkania, gdzie żyje rozproszony i niejednolity konglomerat ras podbitych przez cara „ogniem i mieczem”. Prawdziwi Rosjanie to jedynie połowa populacji, stanowiąca większość na zaledwie około jednej czwartej powierzchni, dlatego jedność całości lub tak zwana „jedna i niepodzielna Rosja” jest co najmniej tak samo pełna sprzeczności, jak dawna monarchia austro-węgierska czy dawne imperium otomańskie. Po 1917 roku kraina ta stała się kolonią karną dla przyniatającej większości mieszkańców, zarówno Rosjan jak i ludności napływowej, z których zarówno jedni i drudzy są mniej więcej tak samo prymitywni. Trzy miliony sekciarzy, spekulantów i lotrów czy najemników chodzących na pasku systemu, uzbrojonych w karabiny maszynowe, czołgi, samoloty i gazy duszące uciska tam w okrutny sposób sto pięćdziesiąt milionów nieszczęśników, którzy nie mogą nawet drgnąć, ponieważ mają do obrony tylko kije i nadal pamiętają straszliwe kary, jakie ich dotknęły za tego rodzaju próby. Wszystko to jest tajemnicą poliszynela, i jak świat światem nigdy nie widziano, aby skazańcy, niezależnie od tego czy byłiby oni biali, żółci, czarni czy oliwkowi, bronili swoich oprawców i katów przed tymi, którzy chcą ich wyzwolnić. Utrzymywanie, że wyłącznie Rosjanie (nie wspominając już o ludności napływowej) z powodu rzekomej fatalistycznej apatii, która w tym wypadku byłaby zjawiskiem niespotykanym w historii ludzkości, stanowią wyjątek od tej zasady i są z zupełnie niezrozumiałych przyczyn oddani swoim bezlitosnym oprawcom (mimo że nawet dzieci nie wykazują tak daleko posuniętego heroizmu w stosunku do swoich wynaturzonych rodziców), zakrawa na kiepski żart, który nie zasługuje nawet na to, by poświęcić mu uwagę. Wystarczyłoby, aby jedno, dwa czy więcej mocarstw zaatakowało Bolszewię, rzecz jasna, podczas gdy żadne inne by jej nie wspierało, a bolszewicy byłiby zmuszeni do mobilizacji, tj. do uzbrojenia swoich ofiar, aby te ostatnie masowo się podniosły i wykonały dobrze znany refren *Międzynarodówki*, zachowując kule dla swoich katów. Byłby to pogrom bolszewizmu, ale nie kontrewolucja narodowa mająca konkretny cel, a jedynie wulkaniczna erupcja rozszalałych żywiołów, których nie łączy nic, poza jednakową nienawiścią wobec wspólnego oprawcy. Skoro nienawiść znalazłaby swoje ujście, dawne imperium literalnie rozpadłoby się w pył, każdy poszedłby w swoją stronę, nastąpiłaby

anarchia i rozczłonkowanie terytorium przez jego własnych mieszkańców. Cywilizowane mocarstwa byłyby zmuszone interweniować, zresztą dla dobra rdzennej ludności. Tym razem, co jest rzadko spotykane, ich moralny obowiązek szedłby w parze z interesem materialnym; każde znalazłoby tam swoje Maroko, poczynając od tych, które są zatłoczone, a co za tym idzie imperialistyczne. I inne również, tak aby równowaga sił nie została naruszona na ich niekorzyść.

Czy Francuz, o ile nie byłby socjalistą, śmiałby utrzymywać, że Lyautey, przywołując do porządku awanturników i bandytów, którzy grabili i terroryzowali mieszkańców Maroka, i ustanawiając się protektorem tych ostatnich, był przyczyną ich nieszczęścia? Jaki jest zatem sens, aby twierdzić, że „muzyki”, Tatarzy, Czukoci, Turkmeni, itp., zresztą tak samo prymitywni i niepiśmienni jak Marokańczycy, są ulepieni z innej gliny? To tak jakby powiedzieć, że żaden wyrzut sumienia nie powinien przeszkodzić Europejczykom w przekroczeniu progu tej ogromnej i żyznej krainy, której ludność, w proporcji co najmniej dziewięćdziesięciu na stu błaga na kolanach, aby ją wyswobodzono spod haniebnego jarzma, pod którym cierpi potworne męki. Myślenie w inny sposób byłoby szczytem hipokryzji i cynizmu.

Jednak wszystko odbywa się tak, jakby jakiś rozkaz, tyleż nieprawdopodobny i zdumiewający, co wyraźny, zabraniał ludom europejskim, które duszą się w swoich zbyt ciasnych granicach, choćby pomyśleć o istnieniu tej szóstej części globu i o nieskończonych możliwościach, jakie im daje ta przestrzeń, dziś bezsensownie wydana spekulantom i lotrom. W ostatniej dekadzie posunęliśmy się do oskarżenia pana Mussoliniego, że pożądał Tunezji francuskiej; niewiele brakowało, a posunęlibyśmy się do insynuacji, że Francja powinna wspaniałomyślnie złożyć tę ofiarę dla dobra całej ludzkości, wykonując w ten sposób piękny gest ze szkodą dla siebie samej. Powiedzieliśmy, że kolonie belgijskie, francuskie, czy angielskie, mogłyby zostać oddane Niemcom; ale nikt się nawet nie zająknął o tym, że na przykład Krym zamieszkały przez rdzennych Tatarów, tak samo rosyjskich jak Tunezyjczycy są francuscy, mógłby równie dobrze odpowiadać Włochom, czy Kaukaz, Ukraina, dorzecze Donu – innym mocarstwom, którym brakuje powietrza do oddychania. To by ewentualnie oznaczało, że można sobie wyobrazić, że Włosi wezmą to, co

francuskie, czy Niemcy – to co belgijskie lub angielskie, nie oglądając się na wspomnianych posiadaczy. Jeśli natomiast Włosi, Niemcy czy inni zabraliby coś bolszewikom – nawet terytoria nie będące etnicznie rosyjskimi – byłoby to czyste szaleństwo i świętokradztwo przekraczające granice wyobraźni...

Nikt nie ma prawa nawet pomyśleć na głos o takiej potworności! Raczej niech ostatni silni i szlachetni mężczyźni, wywodzący się z narodów chrześcijańskich, nawzajem się wyniszczą. A po takim zbiorowym samobójstwie Europy, przyglądającym się w charakterze widzów bolszewikom, ze wsparciem ich przyjaciół czających się od środka, nie pozostanie nic innego jak tylko zniewolić tych, co przeżyją.

Thum. Aurelia Sienkiewicz-Kocimowska